# Naszą północą jest południe: o co walczy MERCOSUR?


**AUTOR**

Fundacja Dobre Państwo



**STRESZCZENIE / ABSTRACT**

Artykuł analizuje skomplikowaną dynamikę negocjacji umowy handlowej między Unią Europejską a blokiem MERCOSUR. Autor wskazuje, że porozumienie to przestało być jedynie kwestią techniczną, stając się zarzewiem konfliktu o istotę europejskiej polityki handlowej i bezpieczeństwo żywnościowe. Polska i Francja wyrażają silny opór, chroniąc rodzimy sektor rolny przed nieuczciwą konkurencją. Z drugiej strony, geostrategiczny wymiar współpracy ma na celu ograniczenie wpływów Chin i USA w Ameryce Południowej. Tekst przybliża ewolucję MERCOSUR, w tym rolę Boliwii i jej zasobów strategicznych, jako elementu budowania nowej podmiotowości regionu. To głęboka analiza starcia interesów przemysłowych, rolniczych i klimatycznych w epoce powracającego paradygmatu bezpieczeństwa gospodarczego.

This article analyzes the complex dynamics of negotiating a trade agreement between the European Union and the Mercosur bloc. The author demonstrates that this agreement has gone beyond being a mere technical matter and has become a hotbed of conflict over the essence of European trade policy and food security. Poland and France have expressed strong resistance, protecting their domestic agricultural sectors from unfair competition. On the other hand, the geostrategic dimension of cooperation aims to curb the influence of China and the United States in South America. The text explores the evolution of Mercosur, including the role of Bolivia and its strategic resources, as a key element in building a new regional identity. It offers a profound analysis of the clash of industrial, agricultural, and climate interests in an era of resurgent economic security.


Umowa handlowa między Unią Europejską a MERCOSUR przestała być jedynie technokratycznym porozumieniem, stając się areną fundamentalnego sporu o kształt współczesnej globalizacji. Z jednej strony mamy europejskie obawy o bezpieczeństwo

żywnościowe i suwerenność rolniczą, z drugiej zaś ambicje państw Ameryki Południowej, które dążą do przełamania peryferyjnego statusu poprzez regionalną integrację. Artykuł analizuje ten konflikt nie jako prosty spór o cła na wołowinę czy drób, lecz jako zderzenie dwóch wizji przetrwania w świecie wielobiegunowym. Autor stawia tezę, że MERCOSUR nie powinien być postrzegany jako nieudana kopia UE, lecz jako racjonalna strategia autonomii regionu, który próbuje uniknąć satelizacji przez globalnych hegemonów. Wyzwaniem dla obu bloków jest wypracowanie modelu handlu konstytucyjnie uwarunkowanego, który zastąpi darwinizm rynkowy odpowiedzialną współpracą. W obliczu kryzysu zaufania do elit i narastającego gniewu społecznego, porozumienie to może być albo pomnikiem niespełnionych ambicji, albo laboratorium nowego typu partnerstwa, w którym handel przestaje być narzędziem dominacji, a staje się fundamentem wspólnego bezpieczeństwa i zrównoważonego rozwoju.

**SŁOWA KLUCZOWE**

MERCOSUR | Umowa UE-MERCOSUR | Suwerenność żywnościowa | Wielobiegunowość | Arbitraż regulacyjny | Bezpieczeństwo gospodarcze | Sektor rolny | Kontyngenty taryfowe | Tożsamość regulacyjna | Autonomia produkcyjna | Luka wdrożeniowa | Geostrategia | Bariery celne | Zasoby strategiczne | Dywersyfikacja polityki zagranicznej

## Wielobiegunowość w praktyce: dlaczego MERCOSUR walczy o umowę z UE

Polska, Francja oraz szereg innych państw członkowskich Unii Europejskiej coraz głośniej i dobitniej artykułują swoje obawy dotyczące sektora rolnego, co nadaje negocjacjom z MERCOSUR temperaturę bliską wrzenia. Według najświeższych doniesień dyplomatycznych Warszawa zapowiedziała już formalne zaskarżenie porozumienia do Trybunału Sprawiedliwości UE, podnosząc argumenty o fundamentalnym znaczeniu dla bytu narodowego. Chodzi tu o egzystencjalne zagrożenie dla rodzimych rolników, zachwianie bezpieczeństwa żywnościowego oraz konieczność ochrony interesów rynku krajowego przed nieuczciwą konkurencją. Niezależnie od tego, jak ostatecznie ocenimy prawną skuteczność tej szarży, polityczny sygnał jest czytelny i brutalnie szczery. Umowa UE-MERCOSUR przestała być jedynie technokratycznym projektem

łączącym Brukselę z Brasílią, a stała się areną gwałtownego konfliktu wewnątrz samej Europy. To już nie jest dialog dwóch bloków, lecz wielogłosowy spór o samą istotę europejskiej polityki handlowej w epoce gwałtownego powrotu paradygmatu bezpieczeństwa gospodarczego.

W tym sensie umowa stanowi ostateczny test dla demokracji gospodarczej, stawiając przed nami niewygodne pytanie: kto właściwie ma dziś prawo definiować interes europejski? Czy prymat należy się potężnemu przemysłowi eksportowemu, który z niecierpliwością wyczekuje zniesienia barier celnych w Ameryce Południowej, by zalać tamtejsze rynki swoimi produktami? Czy może rację mają konsumenci, liczący na większą podaż i zbawienną presję na ceny w czasach niepewności? A co z rolnikami, którzy z lękiem spoglądają na konkurencję nieobarczoną tak rygorystycznymi normami, co uderza w suwerenność żywnościową, czyli prawo państw do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa rynku przed zewnętrzną presją? Nie zapominajmy o klimacie, który wprawdzie nie posiada karty do głosowania, ale z bezwzględną precyzją wystawia rachunki za nasze zaniedbania, choć czyni to z tragicznym opóźnieniem. Każda z tych odpowiedzi niesie w sobie ziarno prawdy, co sprawia, że sytuacja staje się niemal patowa.

Prawdziwym problemem nie jest tu bowiem brak racjonalnych argumentów, lecz ich przytłaczający nadmiar, który paraliżuje proces decyzyjny. Współczesna polityka handlowa przypomina skomplikowaną operację chirurgiczną wykonywaną na żywym, pulsującym organizmie, podczas gdy każdy organ posiada własnego rzecznika prasowego i prowadzi osobną kampanię w mediach. Przemysł domaga się nowych rynków zbytu z energią godną lepszej sprawy, podczas gdy rolnictwo błaga o protekcjonistyczny parasol ochronny. Klimat domaga się radykalnej redukcji emisji, konsument walczy o każdy grosz przy kasie, a dyplomacja drży o resztki swojej międzynarodowej wiarygodności. Prawnicy z pasją tropią właściwe podstawy traktatowe, a politycy, jak to mają w zwyczaju, krzyczą najgłośniej właśnie wtedy, gdy najciszej i najpobieżniej czytają przedłożone im dokumenty. Dojrzała polityka zaczyna się tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez ucieczki w slogan.

Umowa UE-MERCOSUR jest właśnie takim wielowarstwowym organizmem, w którym nie da się zoperować jednego układu bez ryzyka uszkodzenia pozostałych. Geostrategiczny sens tej relacji opiera się na karkołomnej próbie zbudowania partnerstwa między dwoma blokami, które wprawdzie krańcowo inaczej rozumieją procesy integracyjne, ale łączą je podobne obawy przed światem jedno- lub dwubiegunowym. Unia Europejska desperacko pragnie zachować resztki wpływów w Ameryce Południowej, by nie dopuścić do całkowitego wciągnięcia tego regionu w orbitę wpływów Pekinu lub ponownego podporządkowania go waszyngtońskiej presji. Z kolei MERCOSUR, czyli organizacja gospodarcza i polityczna zrzeszająca państwa Ameryki Południowej, chce wykorzystać Europę jako inteligentną przeciwwagę dla globalnych hegemonów. Obie strony

chętnie szafują wzniosłymi hasłami o wspólnych wartościach, ale pod stołem skrupulatnie przeliczają twarde interesy. To nie jest cynizm, lecz normalna, choć surowa składnia polityki międzynarodowej.

Warto przy tym zauważyć, że dzisiejszy MERCOSUR to już nie tylko dawny, zwarty rdzeń czterech państw założycielskich, lecz struktura znacznie bardziej złożona i niejednoznaczna. Oficjalnie obejmuje on Argentynę, Brazylię, Paragwaj, Urugwaj, Boliwię oraz Wenezuelę, przy czym ta ostatnia pozostaje od lat zawieszona w prawach członka, a Boliwia jest stosunkowo nowym graczem na tej scenie. To poszerzenie ma kolosalne znaczenie nie tylko polityczne, ale przede wszystkim symboliczne i surowcowe dla całego kontynentu. Boliwia wnosi do bloku wymiar andyjski oraz ogromne zasoby strategiczne, co w przyszłości może przesunąć środek ciężkości dyskusji ku energii, wydobyciu litu i nowym formom suwerenności zasobowej. Wenezuela, mimo swojego zawieszenia, wciąż rzuca na cały projekt ideologiczny cień, przypominając, że kontrhegemonia bywa atrakcyjna retorycznie, ale okazuje się tragicznie trudna instytucjonalnie, gdy zderza się z brutalną rzeczywistością kryzysu demokracji.

Krytycy tych koncepcji, których argumenty są mi skądinąd bliskie, podnoszą szereg istotnych kwestii, których nie sposób zignorować w rzetelnej analizie. Liberalni internacjonaliści ostrzegają, że zbyt silny regionalizm może niepostrzeżenie przeobrazić się w protekcjonizm, który utrwala gospodarczą nieefektywność i ostatecznie uderza w portfele konsumentów. Zwolennicy głębokiej integracji instytucjonalnej słusznie punktują, że bez silnych organów ponadnarodowych MERCOSUR pozostanie jedynie luźnym forum prezydenckiej dyplomacji, nękanym przez lukę wdrożeniową, czyli rozdźwięk między ambitnym prawem a jego faktyczną implementacją. Ekonomiści rozwojowi dodają, że sama integracja handlowa to za mało, jeśli nie towarzyszy jej autonomia produkcyjna, czyli zdolność regionu do budowania własnych technologii i łańcuchów wartości zamiast bycia wyłącznie dostawcą surowców. Te głosy krytyczne nie obalają jednak głównej tezy tego eseju, lecz ją dyscyplinują i osadzają w realiach.

Najsilniejsza obrona MERCOSUR nie polega bowiem na zaklinaniu rzeczywistości i twierdzeniu, że blok ten działa bez zarzutu, lecz na wykazaniu, że jego niedoskonałość jest w pełni racjonalna w świecie głębokich asymetrii. Gdyby państwa regionu zdecydowały się porzucić wspólną platformę, stałyby się dziecinnie łatwym łupem dla mocarstw stosujących strategię "dziel i rządź". Gdyby z kolei przyjęły model ponadnarodowy na wzór europejski, mogłyby po prostu nie przetrwać napięć wynikających z własnych nierówności wewnętrznych. MERCOSUR jest więc trudną sztuką balansowania między czterema przepaściami: upokarzającą zależnością, paraliżem decyzyjnym, jałowym protekcjonizmem a całkowitym rozpuszczeniem się w cudzym, narzuconym porządku. Właśnie dlatego hasło "Naszą Północą jest Południe" to coś znacznie więcej niż tylko efektowna

poetyka polityczna. To kompas epoki, w której peryferie próbują przestać nimi być poprzez regionalne mnożenie siły, a nie przez samotną, skazaną na porażkę autarkię.

W tym kontekście umowa z Unią Europejską jawi się jako paradoksalne narzędzie tej samej doktryny, służące potwierdzeniu podmiotowości regionu na arenie międzynarodowej. MERCOSUR negocjuje z bogatą Północą właśnie po to, by udowodnić, że jego własny punkt odniesienia znajduje się na Południu. Sektor rolny w tej umowie działa jak soczewka skupiająca wszystkie lęki i napięcia współczesnej globalizacji, od konfliktu między wolnym handlem a bezpieczeństwem, po zderzenie eksportowej racji stanu z kruchością europejskiej wsi. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością; to handel ziemią, wodą, pracą, krajobrazem i pamięcią społeczną. Wolny handel bez prawa jest darwinizmem z ładną typografią, dlatego tak ważne jest wypracowanie wspólnych standardów. To dlatego pozornie techniczna sprawa kontyngentów na wołowinę, drób czy etanol stała się jednym z najbardziej zapalnych punktów całego porozumienia.

Po stronie południowoamerykańskiej sprawa jest zasadniczo jasna i opiera się na twardej logice ekonomicznej przetrwania. Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj to gospodarki, których pozycja w globalnym podziale pracy zależy od eksportu produktów wymagających dużej skali przestrzennej. Dla nich umowa to szansa na dywersyfikację w polityce zagranicznej, czyli strategię poszerzania kręgu partnerów międzynarodowych zamiast polegania na jednym mocarstwie. Brazylia oczekuje gwałtownego wzrostu eksportu po pełnym wdrożeniu porozumienia, a wiceprezydent Geraldo Alckmin wprost wskazuje sektory cukru, owoców i mięsa jako głównych beneficjentów. Dla państw Południa nie jest to abstrakcyjna liberalizacja, lecz otwarcie jednego z najbardziej prestiżowych rynków świata na sektory, w których mają realną przewagę. To nie populizm. To arytmetyka reprezentacji.

Musimy jednak pamiętać, że dla Europy kluczowa jest tożsamość regulacyjna, czyli zbiór unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska, które są fundamentem naszego wspólnego rynku. Bez ich poszanowania umowa może stać się koniem trojańskim, który zniszczy lokalne rolnictwo pod pretekstem postępu. Ekonomiczna średnia bywa jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda, ale nie zawsze ratuje przed zmoknięciem tych, którzy stoją na samym brzegu. Prawdziwym wyzwaniem jest więc znalezienie równowagi między geostrategiczną koniecznością a społeczną sprawiedliwością. Jeśli Europa nie zdoła pogodzić tych sprzeczności, umowa z MERCOSUR pozostanie jedynie pomnikiem niespełnionych ambicji. W polityce pogarda wobec lęku klas produkcyjnych zawsze wraca jako gniew, którego nie ukoi żadna, nawet najbardziej błyskotliwa dyplomacja.

# Arbitraż regulacyjny: dlaczego rolnicy boją się wolnego handlu

Po stronie Unii Europejskiej napięcie nie jest wynikiem biurokratycznego kaprysu, lecz głębokiego pęknięcia w samej strukturze interesów kontynentu, który próbuje pogodzić ogień z wodą. Europa z jednej strony desperacko pragnie otworzyć rynek MERCOSUR dla swoich flagowych produktów: maszyn, samochodów, farmaceutyków, chemikaliów oraz zaawansowanych usług, widząc w tym szansę na cywilizacyjny skok eksportowy. Z drugiej strony Bruksela musi budować szańce wokół swoich sektorów wrażliwych, takich jak hodowla bydła, drobiu, produkcja cukru, zbóż, jaj czy cytrusów, które stanowią o żywotności europejskiej wsi. Komisja Europejska, choć oficjalnie promuje umowę jako wielką szansę dla unijnych przedsiębiorców, w swoich działaniach wykazuje daleko idącą powściągliwość, doskonale wiedząc, że nie uczestniczy w niewinnym ćwiczeniu z podręcznikowej teorii przewag komparatywnych. Przyjęte przez Radę UE rozporządzenie dotyczące zabezpieczeń rolnych jest tego najlepszym dowodem, stanowiąc swoisty hamulec bezpieczeństwa, który ma umożliwić błyskawiczną reakcję w momencie, gdy import z Ameryki Południowej zacznie realnie zagrażać stabilności unijnych producentów.

Najbardziej symbolicznym, a zarazem najbardziej zapalnym punktem sporu stała się wołowina, która w europejskiej wyobraźni politycznej zajmuje miejsce niemal sakralne. Komisja Europejska uspokaja nastroje, wskazując, że umowa wcale nie otwiera drzwi na oścież, lecz ustanawia precyzyjny kontyngent 99 tysięcy ton objęty preferencyjnym cłem w wysokości 7,5 procent, z czego ponad połowa ma dotyczyć mięsa świeżego lub chłodzonego. Według oficjalnych komunikatów ten wolumen to zaledwie 1,5 procent europejskiej produkcji wołowiny, co zwolennicy liberalizacji uznają za ilość marginalną, niemal statystyczny błąd pomiaru. Agencja Reuters uzupełnia ten obraz danymi o drobiu, wskazując na dodatkowe 180 tysięcy ton, co łącznie ma stanowić ułamek unijnej konsumpcji, nieprzekraczający półtora procenta rynku. Te proporcje są nieustannie przywoływane jako dowód na to, że lęk rolników jest zjawiskiem czysto psychologicznym, niemającym oparcia w twardej matematyce handlowej. Skoro skala importu jest tak skromna względem całego kontynentu, to – jak głosi oficjalna narracja – nie może ona doprowadzić do upadku europejskiej hodowli.

Problem polega jednak na tym, że rolnictwo nie doświadcza rzeczywistości rynkowej przez pryzmat chłodnej, kontynentalnej średniej, lecz poprzez brutalną fizykę cen, konkretnych segmentów i lokalnych struktur kosztów. Dla producenta wołowiny w Irlandii, Francji czy Polsce nawet niewielka, ale stała presja cenowa może okazać się zabójcza, zwłaszcza gdy trafia w moment kumulacji wysokich kosztów paszy, energii, obsługi kredytów oraz coraz surowszych wymogów

środowiskowych. Statystyczny procent, choć wygląda bezpiecznie w tabelach Excela, nie mówi nam absolutnie nic o zdolności konkretnego, rodzinnego gospodarstwa do przetrwania kolejnego kwartału pod kreską. Ekonomiczna średnia bywa bowiem jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda w słońcu, ale rzadko kiedy ratuje przed utonięciem, gdy poziom wody gwałtownie rośnie. W tym sporze nie chodzi zatem wyłącznie o suchy wolumen towarów, lecz o fundamentalną jakość konkurencji, z jaką przychodzi się mierzyć europejskim producentom.

Europejscy rolnicy podnoszą fundamentalny argument: produkty z Ameryki Południowej powstają w zupełnie innym uniwersum regulacyjnym, przy drastycznie niższych kosztach pracy i odmiennej strukturze własności ziemi. Oś sporu nie przebiega więc między zwolennikami handlu a jego przeciwnikami, lecz między handlem opartym na porównywalnych wymogach a systemem, który pozwala jednej stronie eksportować koszty społeczne i środowiskowe poza pole widzenia konsumenta. To właśnie tutaj pojawia się najważniejsza kategoria analityczna tego konfliktu: arbitraż regulacyjny, czyli praktyka polegająca na wykorzystywaniu różnic w standardach prawnych i kosztach nadzoru między różnymi jurysdykcjami, co pozwala na oferowanie niższych cen kosztem standardów. Jeżeli unijny producent musi finansować wyśrubowane normy dobrostanowe, sanitarne i administracyjne, a jego konkurent korzysta z braku podobnych obciążeń, cena przestaje być wyrazem efektywności, a staje się zapisem różnicy w reżimach prawnych. Wolny handel bez wspólnego mianownika standardów staje się wtedy darwinizmem z ładną typografią, gdzie wygrywa nie lepszy, lecz ten, kto może taniej ignorować koszty zewnętrzne.

W tej skomplikowanej układance każdy aktor widzi inny fragment obrazu, co sprawia, że porozumienie wydaje się tak odległe. Konsument w europejskim supermarkecie widzi przede wszystkim tańszy produkt, rolnik dostrzega w nim niesymetryczny ciężar regulacyjny, a ekolog widzi koszt przeniesiony do innego, często dewastowanego ekosystemu. Prawnik z kolei analizuje problem równoważności standardów, podczas gdy ekonomista, o ile nie zasnął nad uproszczonym modelem, dostrzega w tym klasyczną negatywną zewnętrzność. Należy jednak zachować intelektualną uczciwość i przyznać, że argument o standardach bywa obosieczny, służąc czasem jako parawan dla eleganckiego protekcjonizmu, mającego chronić lokalne renty. Tożsamość regulacyjna, czyli zbiór unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska będących fundamentem wspólnego rynku, jest dla Brukseli powodem do dumy, ale dla państw Południa bywa symbolem hipokryzji bogatych gospodarek.

Wspólna Polityka Rolna przez dekady stanowiła fundament europejskiego kompromisu społecznego, ale z perspektywy państw MERCOSUR często jawi się jako mechanizm wykluczenia. Północ z wielkim entuzjazmem głosi hasła liberalizacji, gdy chodzi o sektory, w których dominuje – jak finanse, usługi czy własność intelektualna – lecz nagle odkrywa świętość lokalnego krajobrazu i

tradycji, gdy Południe chce sprzedać wołowinę lub etanol. Krytyka europejskiego protekcjonizmu jest w tym sensie zasadna, gdyż bogaty kontynent, budując mur z norm, musi udowodnić, że jest to mur ochrony interesu publicznego, a nie tylko obrony przywilejów politycznie silnych grup nacisku. To napięcie jest doskonale widoczne w wynegocjowanych mechanizmach zabezpieczających, które mają być wentylem bezpieczeństwa dla unijnego rolnictwa. Suwerenność żywnościowa, czyli prawo państw do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa dostaw przed zewnętrzną konkurencją, staje się tu głównym orężem w walce o kształt umowy.

Parlament Europejski, próbując nawigować między Scyllą globalnego otwarcia a Charybdą rolniczego buntu, poparł możliwość zawieszania preferencji taryfowych dla produktów najbardziej wrażliwych. Postulowano surowsze progi uruchamiania zabezpieczeń, krótsze terminy postępowań oraz stały, rygorystyczny monitoring rynku, który ma zapobiegać faktom dokonanym. Ostateczne porozumienie między Parlamentem a Radą w kwestii ochrony drobiu, jaj, cukru czy cytrusów pokazuje, że bez takich bezpieczników umowa byłaby politycznie martwym projektem. Tego rodzaju rozwiązania są niezbędne do uzyskania społecznej akceptacji, ale zarazem stanowią gorzkie wyznanie, że wiara w czystą, niczym nieograniczoną liberalizację handlu jest dziś towarem deficytowym. Handel żywnością nigdy nie jest bowiem tylko handlem żywnością; jest zawsze elementem szerszej umowy o to, jak chcemy żyć i jakie standardy uznajemy za nienaruszalne.

Współczesny handel międzynarodowy potrzebuje pasów bezpieczeństwa, ponieważ wszyscy gracze mają świadomość, że przy tak dużej asymetrii systemów zderzenie jest niemal nieuniknione. Warto jednak dodać, że same formalne zabezpieczenia nie rozwiązują problemu, jeśli pozostają jedynie martwą literą prawa zapisaną w grubych tomach traktatów. Dla producenta rolnego kluczowe jest nie tylko to, czy mechanizm ochronny istnieje na papierze, lecz czy zostanie on uruchomiony z odpowiednią szybkością, zanim lokalny rynek ulegnie trwałej destabilizacji. Jeśli procedura ochronna zadziała dopiero po fali bankructw i utracie płynności przez gospodarstwa, będzie przypominać straż pożarną, która przyjeżdża z perfekcyjnie opracowanym regulaminem w momencie, gdy z budynku zostały już tylko dymiące fundamenty. Dlatego właśnie techniczne detale, takie jak krótsze dochodzenia czy niższe progi interwencji, nie są biurokratycznym detalem, lecz fundamentem politycznego zaufania. Dojrzała polityka zaczyna się tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez ucieczki w tani slogan, uznając zarówno potrzebę wymiany handlowej, jak i konieczność ochrony własnej bazy produkcyjnej.

# Standardy w starciu: handel jako antropologia moralna

Standardy sanitarne to nie tylko biurokratyczne zasieki, ale fundament realnej ochrony konsumenta, choć w praktyce bywają one polem minowym niedomówień. Zwolennicy porozumienia z MERCOSUR, czyli organizacją dążącą do integracji gospodarczej i politycznej państw Ameryki Południowej, uspokajają, że unijne wymogi fitosanitarne pozostają nienaruszalne. Według nich systemy autoryzacji zakładów i mechanizmy ostrzegania stanowią wystarczający filtr, przez który przejdzie tylko to, co bezpieczne. Niemniej jednak diabeł tkwi w egzekucji, a skuteczność tych procedur zależy od zasobów kontrolnych, które rzadko bywają niewyczerpane. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością; to zawsze test zaufania do instytucji, których nie widzimy na co dzień.

Krytycy słusznie zauważają, że kontrola na granicy, choćby najbardziej skrupulatna, nie zastępuje pełnej równoważności całego systemu produkcji. Można przecież z aptekarską precyzją zbadać dokumentację konkretnej partii towaru, ale znacznie trudniej zweryfikować to, co nazywamy tożsamością regulacyjną, czyli zbiorem unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska. Prawdziwym wyzwaniem nie jest bowiem analiza chemiczna mięsa, lecz wgląd w całą kulturę agrarną, historię konkretnej działki czy realne warunki pracy w odległych latyfundiach. W tym miejscu biurokracja zderza się z żywiołem, a papierowa pewność z nieprzejrzystością globalnych łańcuchów dostaw. To nie jest brak wiary w procedury, to świadomość ich strukturalnych ograniczeń.

W tle tych technicznych sporów majaczy kwestia środowiskowa, w której produkcja wołowiny, soi czy etanolu staje się katalizatorem pytań o los Amazonii i Cerrado. Komisja Europejska przekonuje, że ograniczone kontyngenty i nowe mechanizmy nadzoru zapobiegną dodatkowemu wylesianiu, co brzmi uspokajająco, lecz wymaga nieustannej weryfikacji. Związek między wzrostem opłacalności agroeksportu a presją na ekosystemy jest bowiem pośredni, ale niezwykle silny, przypominając naczynia połączone, których nie da się łatwo odseparować. Nie każda tona eksportowanego mięsa oznacza bezpośrednio wycięte drzewo, ale każda zwiększa bodźce do ekspansji na nowe tereny. Tu nie wolno ani wpadać w histerię, ani usypiać czujności tanią retoryką.

Dygresja w tym miejscu jest niemal obowiązkowa, ponieważ debata o środowisku zbyt często zamienia się w teatr moralnej czystości, w którym aktorzy zapominają o własnych kostiumach. Europejski konsument potrafi potępiać wylesianie, konsumując produkty, których ślad węglowy jest rozproszony po planecie w sposób niemal niemożliwy do wyśledzenia. Z drugiej strony południowoamerykański eksporter chętnie szafuje prawem do rozwoju, ignorując fakt, że rozwój oparty na degradacji ekosystemu jest kredytem zaciągniętym u przyszłości bez jej zgody. Obie

strony trzymają w rękach lustra, ale najchętniej używają ich jako tarcz, by nie musieć patrzeć na własne niespójności. To klasyczny pat, w którym etyka staje się zakładnikiem doraźnych interesów.

Szczególną intensywność konflikt norm osiąga w branży hodowlanej, gdzie spór dotyczy nie tylko ekonomii, lecz także moralnej ontologii zwierzęcia. Ontologia, czyli nauka o strukturze bytu i relacjach, pozwala dostrzec, że spór dotyczy czegoś więcej niż ceny. Europejskie regulacje dobrostanowe, choć wciąż dalekie od ideału, budują rosnące oczekiwania wobec sposobu chowu, transportu i uboju, czyniąc z nich element naszej tożsamości. Jeśli konkurencja z importu nie podlega podobnemu reżimowi, to spór przestaje dotyczyć wyłącznie kilograma mięsa na regale. Chodzi o to, czy zwierzę jest dla nas tylko nośnikiem białka, czy przedmiotem konkretnych obowiązków etyczno-prawnych. W tym punkcie handel staje się antropologią moralną: definiuje, co dana cywilizacja uznaje za dopuszczalne w relacji między człowiekiem, ziemią a zyskiem.

## Rolnictwo jako pole bitwy: między geostrategią a lękiem

Dla państw tworzących MERCOSUR, czyli organizację dążącą do integracji gospodarczej i politycznej Ameryki Południowej, odpowiedź na dylematy rolnicze wyrasta z zupełnie innych warunków przestrzennych i historycznych. Wszak w Urugwaju i Argentynie hodowla bydła to coś znacznie więcej niż pozycja w bilansie handlowym, ponieważ stanowi ona fundament narodowej tożsamości i kultury. Brazylia z kolei wyrosła na agroprzemysłowego giganta, operującego na skalach, których europejskie rolnictwo rodzinne nie jest w stanie w żaden sposób skopiować. Paragwaj, mniejszy i bardziej podatny na wstrząsy, traktuje dostęp do rynków zewnętrznych jako jedyną realną szansę na rozwój cywilizacyjny. W tych krajach sektor rolny jest nierozerwalnie spleciony z układem władzy, terytorium oraz ambicjami polityki zagranicznej. Nie można go analizować jako zwykłego działu produkcji, gdyż jest on sercem ich dążenia do autonomii produkcyjnej, czyli zdolności regionu do budowania własnych technologii i łańcuchów wartości.

Z punktu widzenia Południa europejska ochrona rolnictwa jawi się nie tylko jako bariera ekonomiczna, ale przede wszystkim jako bolesny problem symboliczny. Bowiem oto bogata Północ, która przez dekady budowała swój przemysł i systemy subsydiów, mówi dziś państwom rozwijającym się, że mogą konkurować wyłącznie na jej warunkach. Unia Europejska występuje tu w roli surowego architekta bramy, przez którą wolno przejść dopiero po uiszczeniu wysokiej opłaty normatywnej. Ta tożsamość regulacyjna, czyli zbiór unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska, jest przez MERCOSUR często odczytywana jako forma wyrafinowanego protekcjonizmu. Nic dziwnego, że część europejskich zastrzeżeń interpretuje się tam jako próbę

utrwalenia starej, kolonialnej hierarchii świata. Handel żywnością nigdy nie jest przecież tylko handlem żywnością.

Jednak gdy spojrzymy na tę samą kwestię z perspektywy europejskiego rolnika, obraz sytuacji ulega gwałtownemu i dramatycznemu odwróceniu. Wszak Bruksela od lat systematycznie zwiększa wymagania dotyczące dobrostanu zwierząt, ochrony roślin oraz skomplikowanej dokumentacji, co drastycznie podnosi koszty prowadzenia działalności. Jednocześnie ta sama Bruksela otwiera rynek na produkty wytwarzane w systemach o znacznie niższych standardach i innej strukturze regulacyjnej. Rolnik słyszy wprawdzie, że jest beneficjentem Wspólnej Polityki Rolnej, ale w rzeczywistości czuje się jak podwykonawca norm, których kosztów rynek nie chce mu zrekompensować. Słyszy o wielkiej geostrategii w momencie, gdy jego największym zmartwieniem pozostaje kolejna rata kredytu za nowoczesny traktor. Jego świat ma promień kilkunastu kilometrów, obejmując rodzinne gospodarstwo oraz lokalny zakład przetwórczy.

Tego rodzaju lęku, zakorzenionego w codziennej walce o przetrwanie, nie wolno w dojrzałej debacie publicznej lekceważyć ani tym bardziej wyśmiewać. W polityce pogarda wobec obaw klas produkcyjnych zawsze wraca po czasie jako niszczycielski i trudny do opanowania gniew. Umowa UE-MERCOSUR jest więc jednocześnie ambitnym projektem otwarcia rynków oraz przedsięwzięciem obarczonym ogromnym ryzykiem społecznym. Dla państw Południa to szansa na realizację strategii dywersyfikacji w polityce zagranicznej, czyli poszerzenia grona partnerów w celu uniknięcia dominacji jednego mocarstwa. Unia z kolei liczy na wzmocnienie swojego przemysłu oraz zaznaczenie obecności w strategicznie ważnym regionie Ameryki Łacińskiej. Jednak cena tego geostrategicznego manewru może okazać się zbyt wysoka dla europejskiej stabilności wewnętrznej.

Ryzyko to obejmuje nie tylko pogłębienie poczucia zdrady wśród rolników, ale także utrwalenie agroeksportowego modelu gospodarki na globalnym Południu. Istnieje również poważna obawa o tzw. lukę wdrożeniową, czyli rozdźwięk między ambitnymi zapisami umowy a ich faktyczną implementacją w krajowych systemach prawnych. Polska zapowiedź zaskarżenia umowy do Trybunału Sprawiedliwości UE dowodzi, że proces ten pozostaje politycznie żywy i będzie prawnie kontestowany. Warszawa argumentuje, że porozumienie zagraża suwerenności żywnościowej, rozumianej jako prawo państwa do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa konsumentów. Ten spór pokazuje, że dla wielu krajów członkowskich interesy rynku krajowego są ważniejsze niż abstrakcyjne korzyści z globalnej wymiany.

Warto jednak zauważyć, że struktura korzyści po stronie europejskiej jest znacznie bardziej złożona, niż sugerują to nagłówki gazet. Zwolennicy umowy słusznie podkreślają, że MERCOSUR obniży cła na europejskie wina, sery, oliwę oraz wysokiej jakości produkty przetworzone. Reuters wskazywał nawet na konkretne bezcłowe kontyngenty dla unijnych serów oraz żywności dla

niemowląt, co otwiera nowe możliwości eksportowe. Pokazuje to wyraźnie, że rolnictwo europejskie nie jest wyłącznie ofiarą tego porozumienia, a niektóre jego sektory mogą wręcz rozkwitnąć. Niestety, zysk jednego segmentu produkcji nie neutralizuje automatycznie strat poniesionych przez inny, mniej konkurencyjny dział. Rolnictwo nie jest bowiem jedną, spójną klasą interesów, lecz raczej rozległym archipelagiem sektorów i regionów.

Tu właśnie pojawia się fundamentalny problem sprawiedliwej dystrybucji owoców globalizacji, który rzadko znajduje rozwiązanie w prostych modelach ekonomicznych. Umowy handlowe bywają niezwykle korzystne w ujęciu agregatowym, lecz jednocześnie generują ostre konflikty w konkretnych, lokalnych szczegółach. Eksporter nowoczesnych maszyn może świętować sukces, podczas gdy producent bydła mięsnego staje w obliczu bankructwa. Konsument w Berlinie czy Paryżu może cieszyć się niższą ceną produktu, ale pracownik lokalnej ubojni traci poczucie bezpieczeństwa. Państwo wzmacnia swoją pozycję na szachownicy międzynarodowej, lecz regiony wiejskie czują się poświęcone na ołtarzu tej wielkiej gry. Ekonomiczna średnia bywa jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda, ale nie zawsze ratuje przed zmoknięciem.

W systemie demokratycznym koszt skoncentrowany politycznie zawsze waży znacznie więcej niż korzyść rozproszona statystycznie po całym społeczeństwie. To nie jest tani populizm, lecz twarda arytmetyka reprezentacji, której nie da się oszukać optymistycznymi wykresami. Właśnie dlatego współczesna nauka coraz rzadziej pyta o to, czy handel się opłaca, a częściej o to, jakiego handlu faktycznie potrzebujemy. Handel może budować powszechny dobrobyt, ale może też pogłębiać nierówności i osłabiać lokalne systemy produkcji żywności. W epoce kryzysu klimatycznego i utraty zaufania do elit, każda umowa musi być oceniana przez pryzmat odporności i suwerenności regulacyjnej. Model, w którym wystarczyło obniżyć cło i ogłosić postęp, należy do świata, który już nie istnieje; umarł on cicho, prawdopodobnie w długiej kolejce do odprawy celnej.

## Handel konstytucyjnie uwarunkowany: między normą a asymetrią

W tym kontekście teza solidaryzująca się ze źródłowym ujęciem problemu brzmi nadzwyczaj klarownie: MERCOSUR ma pełne prawo domagać się szerokiego dostępu do rynku europejskiego i z otwartą przyłbicą odrzucać protekcjonistyczną hipokryzję globalnej Północy. Jednocześnie jednak umowa ta musi zostać obudowana takimi mechanizmami, które nie przekształcą europejskiej wsi w przypadkowy koszt uboczny wielkiej geostrategii, a południowoamerykańskiej przyrody w niewidzialny magazyn taniej, acz niszczycielskiej przewagi konkurencyjnej. Nie mamy tu do czynienia z kompromisem miękkim, opartym na uprzejmych uściskach dłoni przed kamerami. To

projekt wymagający twardej regulacji, bezwzględnej kontroli, realnych sankcji oraz politycznej odwagi, by nazwać interesy po imieniu. Wolny handel bez prawa jest bowiem darwinizmem z ładną typografią, gdzie silniejszy pożera słabszego w blasku elegancko złożonych traktatów. Z kolei prawo pozbawione otwartości staje się jedynie protekcjonizmem z czystym sumieniem, chowającym się za parawanem szlachetnych haseł.

Potrzebujemy zatem trzeciego języka, który roboczo nazwiemy handlem konstytucyjnie uwarunkowanym. Dla branży produkcji rolnej i hodowli oznacza to przyjęcie kilku zasadniczych warunków interpretacyjnych, które nadadzą porozumieniu cywilizowany kształt. Po pierwsze, kontyngenty powinny być traktowane nie jako automatyczne zaproszenie do nieograniczonej ekspansji, lecz jako limitowana preferencja podlegająca stałemu i rygorystycznemu monitorowaniu. Po drugie, równoważność standardów musi stać się faktem praktycznym, a nie wyłącznie deklaratywną ozdobą dokumentów negocjacyjnych. Po trzecie, suwerenność żywnościowa, czyli prawo państw do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa rynków krajowych, powinna obejmować nie tylko doraźne bezpieczeństwo konsumenta, ale też długofalową ochronę zdolności produkcyjnych regionów europejskich. Po czwarte, rozwój MERCOSUR, czyli organizacji dążącej do integracji regionalnej państw Ameryki Południowej, nie może oznaczać utrwalenia ich zależności surowcowo-rolnej. Musi być on nierozerwalnie połączony z industrializacją, nowoczesnym przetwórstwem i budową infrastruktury generującej wyższą wartość dodaną.

Najbardziej uczciwe intelektualnie ujęcie tej umowy wymaga od nas stanowczego odejścia od obu dominujących obecnie propagand, które upraszczają rzeczywistość do poziomu komiksu. Propaganda liberalizacyjna przekonuje nas z uśmiechem, że kontyngenty są przecież małe, rolnicy tradycyjnie przesadzają, a handel w magiczny sposób przyniesie korzyści absolutnie każdemu. Z drugiej strony propaganda protekcjonistyczna grzmi, że umowa niechybnie zniszczy europejską wieś, zaleje kontynent tanim mięsem i odda nasze bezpieczeństwo w ręce obcych, niejasnych interesów. Obie te narracje są zbyt płaskie, by opisać złożoność świata, w którym przyszło nam żyć. Prawda jest znacznie bardziej niewygodna i uwiera obie strony sporu z podobną siłą. Umowa może być przecież korzystna geostrategicznie i jednocześnie sektorowo bolesna dla konkretnych grup producentów. Może być niezbędna dla przetrwania MERCOSUR i jednocześnie ryzykowna dla stabilności części europejskich gospodarstw.

Dojrzała polityka zaczyna się właśnie tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez panicznej ucieczki w kojący slogan. W tym miejscu powraca słynne motto: „Naszą Północą jest Południe", które w kontekście rolnictwa nabiera zupełnie nowej głębi. Nie powinno ono oznaczać wyłącznie regionalnej dumy, lecz przede wszystkim zobowiązanie do budowy takiego modelu produkcji, który nie zamieni Południa w eksportowy folwark globalnego rynku. Jeśli

Południe ma być rzeczywiście własną Północą, musi budować suwerenność nie tylko wobec dyktatu Waszyngtonu czy Brukseli, ale także wobec własnych oligarchii ziemskich i pokusy sprzedawania przyszłości w kontenerach. Autonomia produktywna, czyli zdolność regionu do budowania własnych technologii i standardów zamiast bycia wyłącznie dostawcą surowców, jest tu jedyną drogą wyjścia z peryferyjnej pułapki. Analogicznie Europa, jeśli chce aspirować do miana mocarstwa normatywnego, musi pilnować, by jej normy nie były tylko szlachetnym językiem obrony partykularnych przywilejów.

Normy stają się wiarygodne dopiero wtedy, gdy chronią dobro publiczne, a nie tylko rentę sektorową wpływowych grup nacisku. Umowa między Unią Europejską a MERCOSUR może więc stać się czymś znacznie większym niż suchym traktatem o wzajemnym dostępie do rynku. Ma ona szansę stać się laboratorium nowego handlu międzyregionalnego, który uznaje prawo Południa do rozwoju, ale nie ignoruje przy tym alarmujących raportów klimatycznych. Taki model chroni rolnika, ale nie zamyka szczelnie rynku; wzmacnia wielobiegunowość, ale nie instrumentalizuje żywności w politycznych rozgrywkach. To byłby handel dorosły, pozbawiony dziecięcej wiary, że niewidzialna ręka rynku sama rozwiąże wszystkie konflikty, i wolny od starczej paniki, że każdy import jest zdradą narodu. Taki handel nie jest łatwy do zaprojektowania, a tym bardziej do wdrożenia. Ale czas łatwego handlu skończył się bezpowrotnie wraz z epoką, w której globalizacja mogła jeszcze udawać neutralną pogodę.

Relacje między tymi dwoma blokami są podręcznikowym przykładem partnerstwa, które od początku posługuje się językiem wzajemności, choć funkcjonuje w warunkach głębokiej, strukturalnej asymetrii. Obie strony deklarują przywiązanie do multilateralizmu, dialogu politycznego i budowy świata wielobiegunowego, widząc w sobie nawzajem użyteczną przeciwwagę dla dominacji USA czy Chin. Poligamia w polityce zagranicznej, czyli strategia dywersyfikacji partnerów międzynarodowych zamiast polegania na jednym mocarstwie, wydaje się tu racjonalnym wyborem dla obu graczy. Obie strony potrzebują siebie nawzajem, lecz żadna nie ufa partnerowi bez reszty, co nadaje ich relacji specyficzny dynamizm. To nie jest bynajmniej płomienny romans integracyjny, lecz raczej małżeństwo strategiczne zawierane przez armię prawników, ekonomistów i dyplomatów. Każdy z nich przynosi na ceremonię własny aneks, listę zastrzeżeń i skrupulatnie ustawiony kalkulator, by nie stracić ani centa z narodowego interesu.

Z punktu widzenia Unii Europejskiej porozumienie to posiada kilka nakładających się na siebie warstw, z których każda ma inną wagę gatunkową. Pierwsza warstwa jest czysto handlowa: Europa chce uzyskać lepszy dostęp do rynku południowoamerykańskiego dla swoich samochodów, maszyn, farmaceutyków oraz usług. Druga warstwa ma charakter regulacyjny, gdzie UE promuje własną tożsamość regulacyjną, czyli zbiór standardów produkcji i ochrony środowiska będących

fundamentem europejskiego rynku. Trzecia warstwa jest stricte geostrategiczna, gdyż Bruksela chce utrzymać obecność w Ameryce Południowej, zanim region zostanie trwale zdominowany przez Chiny lub hybrydowe układy zależności surowcowych. W tym scenariuszu Europa mogłaby stać się jedynie bezsilnym obserwatorem z wysokimi ambicjami, ale dramatycznie niską sprawczością. Tożsamość regulacyjna jest tu zatem nie tylko kwestią jakości produktów, ale potężnym narzędziem eksportu europejskiego stylu życia i zarządzania ryzykiem.

Z perspektywy MERCOSUR struktura znaczeń tego porozumienia wygląda zupełnie inaczej, co często umyka europejskim analitykom. Po pierwsze, oznacza ono dostęp do jednego z najbogatszych rynków świata dla sektorów, w których blok posiada naturalne przewagi, takich jak rolnictwo, produkcja etanolu czy żywności. Po drugie, wzmacnia to podmiotowość MERCOSUR jako bloku negocjującego z Unią Europejską nie z pozycji petenta, lecz jako spójna regionalna całość. Po trzecie, pozwala to na kontynuowanie historycznej strategii uniknięcia satelizacji przez jedno centrum władzy, co jest głęboko wpisane w polityczne DNA regionu. Południe nie chce być samotne wobec potęgi Północy, dlatego z taką determinacją tworzy regionalną masę negocjacyjną. Problem polega jednak na tym, że asymetria nie znika w cudowny sposób tylko dlatego, że obie strony złożyły podpisy pod wspólnym, opasłym dokumentem.

Europa pozostaje znacznie potężniejszym rynkiem, dysponującym większym kapitałem, zaawansowanym przemysłem i silniejszymi instytucjami o ogromnej sile normotwórczej. MERCOSUR posiada natomiast przewagi w sektorach ziemiochłonnych i surowcowych, lecz jego wewnętrzna spójność instytucjonalna jest wciąż krucha. Często pojawia się tu luka wdrożeniowa, czyli rozdźwięk między ambitnym prawem regionalnym a jego faktyczną, często ułomną implementacją w poszczególnych państwach członkowskich. Umowa między tymi blokami nie jest zatem spotkaniem dwóch równych sobie struktur, lecz trudną negocjacją między potężną maszyną regulacyjną a regionem starającym się zachować autonomię. Tę nierówność trzeba nazwać wprost, bo nienazwana asymetria zawsze wraca po latach jako niszczycielskie polityczne resentymenty. Jednocześnie błędem byłoby postrzeganie MERCOSUR wyłącznie jako strony słabszej, skazanej na dyktat bogatszego partnera.

Słabość instytucjonalna nie musi bowiem oznaczać braku realnej siły negocjacyjnej, zwłaszcza w nowym, niespokojnym układzie sił. Właśnie dlatego, że Unia Europejska desperacko potrzebuje wiarygodności geostrategicznej i dostępu do kluczowych surowców, MERCOSUR dysponuje kartami, których nie można zlekceważyć. Brazylia jest dziś jednym z najważniejszych państw świata, Argentyna pozostaje kluczowym aktorem żywnościowym, a Boliwia wnosi do gry strategiczne pytanie o lit, niezbędny dla europejskiej transformacji energetycznej. W epoce globalnej rywalizacji o łańcuchy dostaw, Południe przestaje być tylko odległą peryferią. Staje się

magazynem przyszłości, choć samo musi bardzo uważać, aby nie zostać zredukowane wyłącznie do roli pasywnego magazynu. Ekonomiczna średnia bywa przecież jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda na zdjęciach, ale nie zawsze ratuje przed utonięciem w morzu zależności.

W tym miejscu źródłowa teza o geoekonomicznym charakterze MERCOSUR nabiera szczególnej, niemal egzystencjalnej aktualności dla obu stron. Unia Europejska często myśli o sobie jako o potędze normatywnej, czyli aktorze, który dzięki wielkości swojego rynku eksportuje standardy poza własne granice. MERCOSUR natomiast postrzega integrację bardziej jako dźwignię negocjacyjną, która ma chronić region przed zewnętrznymi potęgami. UE chce za wszelką cenę regulować procesy globalizacyjne, by nadać im przewidywalny kształt. MERCOSUR z kolei chce przede wszystkim nie zostać przez tę globalizację brutalnie rozregulowany i pozbawiony szans na własny model rozwoju. UE broni swojego modelu poprzez gęstą sieć norm, podczas gdy MERCOSUR broni własnego pola manewru poprzez budowanie bloku. To zderzenie dwóch różnych filozofii przetrwania jest fundamentem, na którym budowany jest nowy, niełatwy ład handlowy.

## Rolnictwo jako pole bitwy: interesy, mity i geopolityka

Oba projekty, europejski i południowoamerykański, są w swej istocie głęboko racjonalne, choć ich wewnętrzne logiki rzadko znajdują wspólny mianownik. To napięcie materializuje się najostrzej w sporze o rolnictwo, gdzie dla Unii Europejskiej tożsamość regulacyjna, czyli zbiór standardów produkcji, ochrony środowiska i dobrostanu zwierząt, stanowi nienaruszalny fundament rynkowego ładu. Z perspektywy państw MERCOSUR te same normy jawią się jednak jako wyrafinowane narzędzie ograniczania dostępu do rynku przez bogatych graczy, którzy sami przez dekady budowali potęgę na protekcjonizmie i subsydiach. Europejczyk z dumą deklaruje, że chroni konsumenta, zwierzę i klimat przed degradacją. Południowoamerykanin, patrząc mu prosto w oczy, odpowiada bez złudzeń: chronisz własną rentę ekonomiczną i nazywasz ją etyką.

Najgorsze analizy geopolityczne rodzą się w momencie, gdy jedna ze stron przypisuje swoim partykularnym interesom wyłączny monopol na moralność. Wspólna Polityka Rolna jest tu symbolem znacznie głębszego problemu, pokazującym, że Unia Europejska, nawet gdy posługuje się gładkim językiem liberalizacji, nie jest bynajmniej naiwnym organizmem wolnorynkowym. To skomplikowana konstrukcja polityczno-gospodarcza, która od zarania uznała rolnictwo za sektor strategiczny, wymagający szczególnej ochrony, wsparcia i sztywnej regulacji. Historycznie było to w pełni zrozumiałe, gdyż po traumach wojennych Europa pragnęła za wszelką cenę zapewnić sobie suwerenność żywnościową, czyli prawo do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa rynku krajowego przed zewnętrzną konkurencją. Chodziło o uniknięcie upokarzającej zależności od

importu i stabilizację dochodów własnych producentów. To nie populizm. To arytmetyka reprezentacji.

Dzisiaj jednak ta sama, niegdyś zbawienna struktura, bywa odbierana przez państwa MERCOSUR jako cyniczna bariera blokująca ich własne ścieżki rozwoju. Kiedy Bruksela domaga się szerokiego otwarcia rynków Ameryki Południowej na swoje zaawansowane samochody i maszyny, a jednocześnie z aptekarską precyzją dawkuje dostęp do własnego rynku dla wołowiny, cukru czy drobiu, trudno o naiwność. W takich momentach rodzi się uzasadnione podejrzenie, że europejski liberalizm posiada bardzo wygodne, sektorowe wyjątki dokładnie tam, gdzie kończy się technologiczna przewaga Starego Kontynentu. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością; to gra o przetrwanie całych grup społecznych po obu stronach oceanu. Wolny handel bez sprawiedliwych reguł staje się ekonomicznym survivalem w estetycznym opakowaniu, a w tym przypadku prawo wydaje się pisane piórem silniejszego.

Z drugiej strony, państwa MERCOSUR również nie występują w tej globalnej sztuce wyłącznie w roli niewinnych ofiar niesprawiedliwego systemu światowego. Ich własne modele agrarne często reprodukują głębokie, wewnętrzne nierówności, a wielkoobszarowy agroeksport potrafi brutalnie wzmacniać koncentrację własności ziemi kosztem mniejszych, lokalnych producentów. Brazylijski agrobiznes to potężny, bezwzględny aktor polityczny, a nie mityczny, uciemiężony chłop z podręcznika do etyki globalnej sprawiedliwości. Argentyńska soja czy paragwajski eksport rolno-hodowlany są gęsto osadzone w lokalnych układach kapitału, władzy i infrastruktury, które generują ogromną presję na cenne ekosystemy. Jeżeli zatem MERCOSUR domaga się uznania prawa Południa do rozwoju, musi też uczciwie odpowiedzieć na pytanie, kto wewnątrz tego regionu faktycznie spija śmietankę, a kto ponosi realne koszty modernizacji.

Dygresja w tym miejscu jest niemal obowiązkowa, ponieważ pojęcie „Południa” bywa w debacie publicznej używane niczym święcona woda, mająca natychmiast oczyścić każdy argument. Wystarczy skropić nim dowolną tezę, by nabrała ona aury emancypacyjnej walki z uciskiem, tymczasem rzeczywistość społeczna jest znacznie bardziej chropowata. Południe nie stanowi jednolitej klasy skrzywdzonych; posiada własne elity, własnych oligarchów i własne peryferie wewnętrzne, gdzie ofiary postępu liczy się w tysiącach. Podobnie Północ nie jest monolitycznym blokiem triumfujących zwycięzców, lecz zbiorem społeczeństw, w których rolnicy i pracownicy przemysłowi często czują się porzuceni przez procesy globalizacyjne. Kto z łatwością operuje wielkimi mapami, ten zazwyczaj zasłania nimi małe, ale bardzo bolesne rany konkretnych ludzi, którym obiecano dobrobyt, a dostarczono niepewność.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń i wzajemnych pretensji, relacja między UE a MERCOSUR posiada autentyczny, niemal egzystencjalny potencjał strategiczny w obecnym ładzie światowym. W

rzeczywistości, w której Stany Zjednoczone coraz agresywniej łączą handel z polityką bezpieczeństwa, a Chiny budują wpływy poprzez ekspansję kredytową i głód surowców, to partnerstwo może stać się kotwicą pluralizmu. Dla Unii oznacza to wyjście poza bezpieczny, regulacyjny archipelag dobrobytu i potwierdzenie swojej roli jako gracza globalnego, a nie tylko regionalnego sędziego. Dla MERCOSUR to szansa na uprawianie poligamii w polityce zagranicznej, czyli strategii dywersyfikacji partnerów międzynarodowych zamiast bolesnego wyboru między amerykańskim naciskiem a chińskim popytem. Wielobiegunowość, będąca praktyczną formą wolności dla średnich aktorów, nie gwarantuje jednak automatycznie sprawiedliwości.

Świat wielu centrów może być bardziej zróżnicowany, ale niesie ze sobą ryzyko wpadnięcia w nowe, subtelniejsze formy zależności zamiast obiecanego wyzwolenia. Państwo może skutecznie uciec od dominacji Waszyngtonu tylko po to, by za chwilę stać się dłużnikiem Pekinu, uwięzionym w roli dostawcy nisko przetworzonych surowców. Autonomia produkcyjna, czyli zdolność regionu do budowania własnych technologii i łańcuchów wartości, pozostaje wciąż celem trudnym do osiągnięcia przy obecnych strukturach wymiany. Bez realnej zmiany paradygmatu, umowa może jedynie utrwalić stary podział ról w nowej, bardziej eleganckiej oprawie graficznej. Ekonomiczna średnia bywa przecież jak pozłacana tarcza, która świetnie chroni przed słońcem w czasie upału, ale rzadko kiedy realnie ratuje przed utonięciem w czasie powodzi.

## Międzyregionalizm: trudna równowaga między normami a strategią

Państwo może cieszyć się zainteresowaniem wielu partnerów, a jednocześnie pozostawać tragicznie bezbronne z powodu braku własnej strategii technologicznej. Dlatego poligamia w polityce zagranicznej, czyli strategia dywersyfikacji partnerów międzynarodowych zamiast polegania na jednym mocarstwie, choć bez wątpienia mądrzejsza od peryferyjnej monogamii, wciąż nie stanowi ostatecznego rozwiązania. Posiadanie wielu relacji, nawet tych najbardziej prestiżowych, nie jest jeszcze tożsame z autentyczną autonomią podmiotu na arenie globalnej. Prawdziwa autonomia, rozumiana jako zdolność do samostanowienia, zaczyna się bowiem dopiero w tym krytycznym momencie, gdy dany podmiot posiada realną siłę, by powiedzieć stanowcze „nie” każdemu ze swoich partnerów. Bez tej zdolności do odmowy każda wielostronność jest jedynie formą bardziej rozproszonej, lecz wciąż dotkliwej zależności.

MERCOSUR, czyli organizacja gospodarcza i polityczna zrzeszająca państwa Ameryki Południowej, próbuje tę podmiotowość mozolnie budować poprzez międzyrządową koordynację, lecz właśnie na tym polu ujawniają się jego strukturalne ograniczenia. Główną bolączką bloku pozostaje luka

wdrożeniowa, czyli specyficzny rozdźwięk między ambitnym prawem regionalnym a jego faktyczną implementacją w systemach krajowych państw członkowskich. Słaba egzekucja wspólnych ustaleń, brak silnego organu ponadnarodowego oraz paraliżująca konieczność wypracowywania konsensusu skutecznie utrudniają realizację jakiejkolwiek długofalowej strategii rozwojowej. Blok potrafi wprawdzie skutecznie blokować zewnętrzną presję, lecz znacznie trudniej przychodzi mu tworzenie wewnętrznych polityk o wysokiej skuteczności operacyjnej. Może on mówić jednym, donośnym głosem w trakcie negocjacji handlowych, lecz rzadko potrafi wdrożyć jednolite reguły gry na własnym, wewnętrznym rynku.

Wspólna tożsamość Południa bywa chętnie przywoływana w retoryce dyplomatycznej, jednak rzadko przekłada się ona na konkretne, wspólne inwestycje w infrastrukturę, przemysł czy nowoczesne technologie. To jest właśnie fundamentalna słabość MERCOSUR: posiada on wystarczająco dużo siły, aby nie dać się łatwo wchłonąć przez globalne potęgi, ale zbyt mało spójności, by w pełni wykorzystać własną skalę. Unia Europejska, będąca lustrzanym odbiciem tych problemów, zmaga się z wyzwaniem o zupełnie odwrotnym wektorze trudności. Posiada ona niezwykle silne instytucje, gęstą sieć powiązań prawnych i ogromną zdolność regulacyjną, lecz jednocześnie często cierpi na dotkliwy niedostatek wspólnej woli strategicznej. Bruksela potrafi z benedyktyńską cierpliwością produkować kolejne normy, lecz z trudem przychodzi jej wypracowanie jednej, spójnej decyzji o charakterze czysto geopolitycznym.

Unijna tożsamość regulacyjna, czyli zbiór standardów produkcji i ochrony środowiska będących fundamentem europejskiego rynku, pozwala kontrolować krzywiznę ogórka, lecz z większym trudem pozwala kontrolować kierunek biegu historii. Jest to oczywiście złośliwa przesada, ale zawiera w sobie ziarno prawdy o współczesnym paraliżu decyzyjnym Starego Kontynentu. W relacji z MERCOSUR Europa musi wreszcie rozstrzygnąć, czy aspiruje do roli podmiotu światowego, czy pozostanie wspólnotą rozbijającą się o własne sprzeczności sektorowe. Jeżeli UE nie potrafi domknąć umowy negocjowanej przez ponad dwie dekady, jej partnerzy wyciągają logiczny wniosek, że Europa jest potężna w teorii, lecz politycznie chwiejna w praktyce. Nie oznacza to bynajmniej, że umowę należy ratyfikować bezwarunkowo i bez głębszej refleksji nad jej społecznymi skutkami.

Przeciwnie, właśnie dlatego, że stawka tej gry jest wyjątkowo wysoka, stawiane warunki muszą być traktowane z najwyższą powagą przez obie strony. Mechanizmy ochronne dla rolnictwa, rygorystyczna kontrola standardów, przejrzystość pochodzenia produktów oraz egzekwowanie zobowiązań środowiskowych nie są jedynie zbędnymi dodatkami do tekstu umowy. Stanowią one fundamentalny warunek jej społecznej legitymizacji, bez której żaden projekt o takiej skali nie ma szans na przetrwanie w demokratycznym systemie. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością, ponieważ dotyka on najgłębszych lęków o bezpieczeństwo i tożsamość lokalnych

społeczności. Handel, który ignoruje te kwestie, wcześniej czy później zostaje surowo ukarany przez polityczną rzeczywistość, co widzieliśmy w narastającej fali populizmu.

Brexit, gwałtowne bunty rolnicze czy kryzys zaufania do elit nie są nieszczęśliwymi wypadkami przy pracy, lecz rachunkiem za dekady ignorowania kosztów społecznych globalizacji. Przez lata wmawiano ludziom, że statystyczny wzrost dobrobytu powinien ich w pełni pocieszyć po utracie realnej kontroli nad własnym życiem i otoczeniem. Relacja UE-MERCOSUR powinna być zatem rozumiana jako ambitna próba stworzenia zupełnie nowego typu międzyregionalizmu, wykraczającego poza proste ramy ekonomiczne. Nie chodzi tu wyłącznie o stworzenie kolejnej strefy wolnego handlu, lecz o trwałe powiązanie rynku z normami, a geostrategii z ochroną sektorów wrażliwych. Taki model wymaga jednak porzucenia kolonialnej pedagogiki Europy wobec Południa oraz romantycznej apologii Południa wobec Europy na rzecz twardego realizmu.

Dojrzałe partnerstwo nie polega na całkowitym braku konfliktów, lecz na tym, że spór nie rozbija wspólnego stołu, przy którym toczą się negocjacje. Współcześni krytycy tego projektu pojawiają się z wielu stron, prezentując często wykluczające się wzajemnie argumenty i wizje przyszłości. Ortodoksyjni zwolennicy liberalizacji uznają, że klauzule środowiskowe i obawy rolnicze nadmiernie komplikują strukturę umowy, osłabiając tym samym korzyści komparatywne obu regionów. Ich zdaniem, jeśli Europa pragnie tańszej żywności i nowych rynków zbytu dla swojego przemysłu, powinna po prostu pozwolić mechanizmom rynkowym działać bez zbędnych ograniczeń. Z drugiej strony, ruchy klimatyczne odrzucają samą logikę zwiększania dalekosiężnego handlu produktami ziemiochłonnymi, takimi jak mięso czy pasze, widząc w tym przejaw zielonej schizofrenii.

Jeszcze inną krytykę formułują zwolennicy suwerenności żywnościowej, czyli prawa państw do ochrony własnego rolnictwa i bezpieczeństwa rynku krajowego przed zewnętrzną konkurencją. Ich zdaniem wielkie umowy handlowe wzmacniają wyłącznie potężny agroprzemysł i korporacyjne sieci eksportowe kosztem lokalnych systemów żywnościowych oraz małych, rodzinnych gospodarstw. Ta perspektywa jest szczególnie niewygodna, ponieważ uderza zarówno w europejskich liberałów, jak i w południowoamerykańskie elity, obnażając wspólnotę interesów wielkiego kapitału. Z kolei realiści geopolityczni ostrzegają, że Europa nie może pozwolić sobie na luksus moralnego perfekcjonizmu w świecie zdominowanym przez rywalizację mocarstw. Jeśli UE nie zawrze tej umowy, Ameryka Południowa nieuchronnie pogłębi relacje z Chinami, a Stary Kontynent straci resztki wpływów i dostęp do kluczowych surowców.

Spór o kontyngenty rolne jest niezwykle istotny, ale w tej optyce nie może on trwale zablokować budowy szerszej architektury strategicznej regionu. Jest to argument mocny, lecz jednocześnie niebezpieczny, gdyż może prowadzić do cynicznego poświęcenia konkretnych grup społecznych w

imię abstrakcyjnej pozycji globalnej. Geostrategia pozbawiona elementarnej sprawiedliwości wewnętrznej staje się jedynie polityką elit, które cudzym kosztem kupują sobie prestiżowe miejsce przy wielkim stole. Dojrzała polityka zaczyna się tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez ucieczki w tani slogan. Esej opowiadający się za źródłową intuicją tego porozumienia musi zatem utrzymać tę niezwykle trudną równowagę między interesem a etyką. Wolny handel bez prawa jest darwinizmem z ładną typografią, dlatego musimy szukać rozwiązań, które nie będą jedynie eleganckim parasolem w czasie powodzi.

## Od naiwnej globalizacji do geoekonomicznej podmiotowości

MERCOSUR zasługuje na rzetelną obronę przede wszystkim jako ambitny projekt autonomii globalnego Południa, stanowiący zbiorową odpowiedź na dominację zewnętrznych hegemonów. W świecie, który rzadko nagradza samotnych i słabych, blok ten jawi się jako próba zbudowania realnej siły przetargowej, zdolnej do twardych negocjacji. Umowa z Unią Europejską może stać się skutecznym narzędziem tej podmiotowości, o ile posłuży do dywersyfikacji relacji i wzmocnienia pozycji negocjacyjnej państw członkowskich. Niemniej jednak ta obrona nie może być aktem ślepej wiary w czystą mechanikę rynkową, która rzekomo sama rozwiązuje problemy strukturalne. Jeśli MERCOSUR ma być czymś więcej niż tylko sprawną platformą dla agroeksportu, musi wpisać to porozumienie w szerszą strategię rozwoju przemysłowego oraz technologicznego.

Partnerstwo wymaga od obu stron porzucenia starych, wygodnych schematów myślowych, które od dekad krępują wzajemne relacje między Europą a Ameryką Łacińską. Unia Europejska musi wreszcie uznać strukturalną asymetrię i przestać mylić swoją normatywność z protekcjonalnością wobec partnerów z innej półkuli. Jeśli obie strony rzeczywiście dążą do wielobiegunowości, muszą zrozumieć, że wielobiegunowość pozbawiona odpowiedzialności staje się jedynie nowym zestawem narzędzi do sprawowania dominacji. W tym specyficznym świetle słynne hasło „Naszą Północą jest Południe” nabiera zupełnie nowego, niemal egzystencjalnego sensu w kontekście współczesnej geoekonomii. Nie jest ono już tylko deklaracją politycznego dystansu wobec wpływów Stanów Zjednoczonych, lecz fundamentalnym pytaniem o podmiotowość. To wezwanie do Europy, by nauczyła się rozmawiać z partnerem, który posiada własną historię, własne rany i bardzo konkretne interesy.

Pytanie to uderza również w sam MERCOSUR, zmuszając go do określenia, czy jego Południe będzie autentyczną wspólnotą obywateli, czy tylko hasłem na sztandarach agroeksportowych zwycięzców. Jest to w istocie pytanie o samą naturę globalizacji i o to, czy można jeszcze tworzyć

porozumienia uznające społeczną gęstość każdej tony towaru. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością, lecz skomplikowaną wymianą wartości kulturowych, standardów pracy i bezpieczeństwa ekologicznego. Relacja między tymi dwoma blokami uczy nas dobitnie, że współczesna polityka handlowa stała się niemożliwa bez uwzględnienia antropologii, prawa oraz geostrategii. Kto w tych debatach mówi wyłącznie o cłach, ten najwyraźniej nie rozumie natury współczesnego konfliktu interesów. Wolny handel bez prawa jest darwinizmem z ładną typografią, który rzadko służy najsłabszym uczestnikom gry.

Ta umowa jest wyjątkowo trudna właśnie dlatego, że wszystkie te porządki i racje są prawdziwe jednocześnie, tworząc gęstą sieć wzajemnych zależności. Partnerstwo UE-MERCOSUR jawi się jako konieczność, która jednak nie może opierać się na naiwnym optymizmie minionych dekad. Powinno ono wzmacniać autonomię produkcyjną, czyli zdolność regionu do budowania własnych technologii i łańcuchów wartości, zamiast konserwować jego rolę jako zaplecza surowcowego. Jednocześnie musi ono budować geostrategiczną sprawczość Europy, nie niszcząc przy tym jej wewnętrznej legitymacji społecznej i zaufania obywateli. Otwarcie rynków nie może odbywać się kosztem tożsamości regulacyjnej, czyli zbioru unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska, które są fundamentem europejskiego rynku. Ochrona rolników jest niezbędna, lecz nie może ona zamienić się w wieczny przywilej blokujący jakąkolwiek modernizację.

Doktryna MERCOSUR nie jest prostym manifestem wolnego handlu, choć jej zapisy często posługują się klasycznym językiem liberalizacji gospodarczej. Nie jest to również doktryna autarkii, mimo że jej twardym rdzeniem pozostaje obrona autonomii politycznej i ekonomicznej przed zewnętrznymi naciskami. Przez lata oceniano ten blok przez europejskie okulary, co prowadziło do wielu nieporozumień i błędnych diagnoz dotyczących jego rzeczywistych celów. Właściwy sens tego projektu ujawnia się dopiero wtedy, gdy potraktujemy go jako odpowiedź regionu peryferyjnego na wyzwania globalizacji. Chodzi o to, jak zbudować odpowiednią skalę działania bez jednoczesnej utraty suwerenności w kluczowych obszarach funkcjonowania państwa. To próba wejścia do globalnej gry bez ryzyka satelizacji, czyli całkowitego uzależnienia od decyzji podejmowanych w odległych centrach władzy.

Początkowy MERCOSUR był dzieckiem lat dziewięćdziesiątych, posługującym się językiem modernizacji, stabilizacji oraz adaptacji do nowego świata po zimnej wojnie. Traktat z Asunción z 1991 roku wyznaczył ambitny kurs na stworzenie wspólnego rynku obejmującego swobodny przepływ towarów, usług oraz kapitału. Z perspektywy tamtej epoki wyglądało to na racjonalny wybór nowo demokratyzujących się gospodarek, które chciały uciec od traumy inflacji i zadłużenia. Wtedy można było jeszcze naiwnie wierzyć, że globalizacja jest jak ocean, po którym wystarczy umiejętnie pływać, by prądy same zaprowadziły nas do dobrobytu. Ekonomiczna średnia bywa

jednak jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda, ale nie zawsze ratuje przed żywiołem. Doświadczenie końca wieku brutalnie zweryfikowało te optymistyczne założenia, niszcząc pierwotną niewinność architektów południowoamerykańskiej integracji.

Kryzysy finansowe oraz upadek modelu argentyńskiego doprowadziły do głębokiej zmiany doktrynalnej wewnątrz bloku, przesuwając go ku regionalizmowi obronnemu i geoekonomicznemu. MERCOSUR porzucił iluzję, że handel odbywa się w neutralnej przestrzeni, wolnej od politycznych nacisków i partykularnych interesów mocarstw. Nie odrzucił on świata jako takiego, lecz zakwestionował reguły pisane wyłącznie przez tych, którzy już dawno wygrali globalny wyścig. Blok stał się postnaiwnie globalizacyjny, co oznacza uznanie konieczności uczestnictwa w gospodarce przy jednoczesnym zachowaniu prawa do własnego modelu rozwoju. Chce on otwarcia, ale na własnych warunkach, z możliwością obrony sektorów wrażliwych i zachowaniem pełnej autonomii decyzyjnej. To podejście definiuje nową tożsamość regionu, który nie chce być już tylko biernym odbiorcą cudzych standardów i regulacji.

W polityce zagranicznej bloku kluczowe znaczenie zyskała strategia dywersyfikacji, czyli praktyka polegająca na poszerzaniu grona partnerów międzynarodowych w celu uniknięcia dominacji jednego mocarstwa. Lepiej mieć wielu partnerów handlowych niż jednego właściciela, który dyktuje warunki i ogranicza pole manewru w kluczowych kwestiach. MERCOSUR opiera się na doktrynie skali, wiedząc, że w świecie wielkich bloków regulacyjnych państwo działające samotnie traci zdolność do wyznaczania warunków. Wspólna Taryfa Zewnętrzna, choć niedoskonała i pełna wyjątków, stanowiła instrument ochrony tej skali przed zewnętrzną presją konkurencyjną. Blokowanie FTAA było najbardziej spektakularnym dowodem na to, że nawet nieidealny sojusz może skutecznie realizować funkcje strategiczne i bronić interesów regionu. Nie trzeba być przecież instytucjonalnie doskonałym, by w kluczowym momencie okazać się politycznie użytecznym i skutecznie skorygować globalną asymetrię.

## Dlaczego słabość MERCOSUR jest politycznym wyborem, a nie błędem

Krytycy, którzy z uporem godnym lepszej sprawy opisują MERCOSUR jako nieudaną Unię Europejską, zazwyczaj trafiają kulą w płot. Oczywiście blok ten cierpi na chroniczną lukę wdrożeniową, czyli rozdźwięk między ambitnym prawem regionalnym a jego faktyczną implementacją w systemach krajowych. Słabe organy ponadnarodowe, ograniczona egzekucja prawa i niska współzależność sprawiają, że wspólny rynek pozostaje konstrukcją niekompletną. Jednak kluczowe pytanie brzmi: czy te niedoskonałości są wyłącznie patologią systemu, czy może

raczej ceną za utrzymanie projektu w warunkach skrajnej asymetrii? W świecie brukselskiego analityka silna instytucja jest uniwersalnym rozwiązaniem, lecz w świecie państwa obawiającego się dominacji sąsiada taka instytucja staje się zagrożeniem. To nie jest błąd w sztuce, lecz instynkt przetrwania.

Międzyrządowy charakter MERCOSUR ma zatem głęboki sens defensywny, chroniąc państwa przed utratą kontroli nad własnym podwórkiem. Zasada konsensusu zabezpiecza mniejsze kraje przed przegłosowaniem przez regionalnych gigantów, a jednocześnie chroni Brazylię przed przekazaniem realnej władzy organom, w których jej materialna przewaga nie przekładałaby się automatycznie na kontrolę. Każdy z członków broni tutaj czegoś innego, ale wszyscy solidarnie strzegą się przed możliwością, że integracja stanie się eleganckim narzędziem cudzej dominacji. Dlatego procesy decyzyjne są powolne, a instytucje celowo pozbawione zębów. MERCOSUR przypomina organizm, który świadomie rezygnuje z części sprawności ruchowej, aby uniknąć gwałtownej reakcji autoimmunologicznej ze strony państw członkowskich.

Dygresja w tym miejscu jest niemal obowiązkowa, gdyż w Europie często zakłada się, że każda dodatkowa dawka integracji oznacza postęp. Jest to odruch zrozumiały historycznie, ponieważ europejska integracja stanowiła bezpośrednią odpowiedź na katastrofę wojny oraz niszczycielską siłę nacjonalizmu. Jednak przeniesiona poza Stary Kontynent ta intuicja staje się dogmatem eksportowym, który nie przystaje do lokalnych realiów. Nie każdy region potrzebuje tej samej dawki ponadnarodowości i nie każda wspólnota polityczna chce, aby jej wewnętrzne konflikty rozstrzygał odległy sąd regionalny. Nie każda asymetria zostanie złagodzona przez nową instytucję, gdyż czasem biurokracja tylko elegancko zalegalizuje przewagę silniejszego gracza. Wolny handel bez prawa bywa darwinizmem z ładną typografią.

Europejczycy skłonni są myśleć, że ich historia to podręcznik świata, podczas gdy dla wielu regionów to raczej przypadek kliniczny. Rynkowa słabość MERCOSUR wynika bowiem nie tylko z ułomności instytucji, lecz przede wszystkim z twardej geografii oraz zastanej struktury produkcji. Handel wewnątrzregionalny pozostaje ograniczony, ponieważ gospodarki są mniej komplementarne niż europejskie, a infrastruktura transgraniczna wciąż przypomina o dawnych zaniedbaniach. Odległości są tu gigantyczne, a historyczne szlaki gospodarcze ukierunkowane były na eksport surowców do portów i dalej do światowych centrów popytu. Drogi, koleje i rzeki nie zawsze pracują dla integracji, bo często służą jedynie dawnemu, kolonialnemu układowi sił. Surowiec płynie z interioru do portu, port łączy się ze światem, a świat przekłada się na rachunek płatniczy.

Integracja Południa musi więc nie tylko znosić cła, ale przede wszystkim mozolnie przebudowywać materialną geografię całego kontynentu. Tu pojawia się wielkie zadanie infrastrukturalne, którego

MERCOSUR nigdy nie zdołał rozwiązać w pełni. Bez nowoczesnych dróg, kolei, połączeń energetycznych oraz cyfrowych korytarzy wspólny rynek pozostaje jedynie szlachetną deklaracją na papierze. Prawo może wprawdzie znieść barierę formalną, ale nie zlikwiduje fizycznego kosztu transportu przez kontynent ani nie naprawi niekompatybilnych torów kolejowych. Nie stworzy ono portu śródlądowego ani nie zbuduje zaufania między urzędami celnymi, które od dekad działają według własnych, hermetycznych reguł. Dlatego MERCOSUR jest cenną lekcją dla teorii integracji: rynek nie jest tylko zbiorem abstrakcyjnych reguł, lecz przede wszystkim konkretną przestrzenią materialną. Jeśli infrastruktura mówi nie, traktat mówi znacznie ciszej.

## Kultura jako fundament integracji: czy MERCOSUR potrzebuje ducha?

Kultura pełni w tej specyficznej konstelacji funkcję niemalże ratunkową, stając się swoistym mechanizmem kompensacyjnym wobec strukturalnych niedomagań wspólnego rynku. MERCOSUR, czyli organizacja dążąca do integracji gospodarczej i politycznej państw Ameryki Południowej, choć paradoksalnie słabszy pod względem dynamiki handlowej niż Unia Europejska, dysponuje znacznie głębszymi fundamentami wspólnoty wyobrażonej. Region ten spaja bowiem potężne iberyjskie dziedzictwo kolonialne, uderzająca bliskość hiszpańszczyzny i portugalszczyzny oraz wszechobecność katolicyzmu, który ukształtował tamtejszą wrażliwość etyczną. Do tego dochodzi tradycja prawnicza wywiedziona wprost z kodeksów rzymskich oraz specyficzne republikańsko-prezydenckie formy państwowości, które nadają lokalnej polityce jej charakterystyczny, często gwałtowny rytm. To nie jest tylko kwestia sentymentu czy wspólnych korzeni. To twarda matryca tożsamościowa.

Wspólnota ta hartowała się w ogniu podobnych, często bolesnych doświadczeń, takich jak mroczne dekady dyktatur, cykliczne kryzysy finansowe czy trudny proces demokratyzacji w cieniu peryferyjnej zależności. Dygresja w tym miejscu jest niemal obowiązkowa: bycie peryferiami to nie tylko status ekonomiczny, ale przede wszystkim wspólny stan ducha i poczucie bycia „poza" głównym nurtem globalnej historii. Obrazu dopełnia unikalny status języka guarani, dziedzictwo redukcji jezuickich oraz barwna kultura gaucho i sertanejo, będąca owocem pamięci o pograniczach, migracjach i przemocy. Wszystkie te elementy tworzą gęstą sieć znaczeń, w której tradycja nieustannie zderza się z próbami gwałtownej modernizacji. MERCOSUR posiada zatem coś, czego Europa, mimo swoich ogromnych starań, nigdy w pełni nie wypracowała. Chodzi o prostszą, niemal intuicyjną gramatykę wspólnej wyobraźni.

W tym kontekście edukacja dwujęzyczna, nauczanie portugalskiego w Buenos Aires i hiszpańskiego w Brasílii czy harmonizacja dyplomów nie są jedynie folklorystycznym dodatkiem do nudnych traktatów. Stanowią one świadomą próbę budowy demosu, czyli wspólnoty obywatelskiej, tam, gdzie mechanizmy rynkowe okazują się zbyt anemiczne, by scalić tak ogromne i zróżnicowane terytoria. Integracja regionalna, jeśli ma przetrwać, nie może przecież egzystować wyłącznie w sterylnych dokumentach ministerstw gospodarki czy w tabelach celnych. Musi ona zejść do poziomu szkół, przeniknąć do codziennego języka i zakorzenić się w mentalnych mapach zwykłych mieszkańców kontynentu. Jeżeli Brazylijczyk nie jest w stanie zrozumieć sąsiada, a Argentyńczyk traktuje portugalski jak barierę nie do przebicia, wspólnota pozostaje martwym zapisem dyplomatycznym. Dopiero gdy narody zaczynają rozumieć się bez tłumacza, integracja zyskuje realne, społeczne ciało.

Nie wystarczy połączyć taryf celnych i złożyć podpisów pod kolejnymi protokołami, bowiem kluczem do sukcesu jest wytworzenie przekonującego wyobrażenia wspólnego losu. Unia Europejska próbowała osiągnąć ten cel poprzez skomplikowane prawo, wspólne symbole, mobilność studentów oraz narrację o wiecznym pokoju po katastrofie wojny. MERCOSUR obiera inną drogę, stawiając na kulturę Południa, pamięć o wspólnym podporządkowaniu i palącą potrzebę wywalczenia realnej autonomii wobec globalnych hegemonów. Jean Monnet mawiał, że celem jest łączenie ludzi, a nie tworzenie koalicji państw, natomiast Fernando Henrique Cardoso podkreślał, że w integracji chodzi o ducha i narody. Obie te formuły brzmią niezwykle szlachetnie, niemniej każdą z nich należy czytać z dużą dozą sceptycyzmu. Politycy uwielbiają wszak rozprawiać o duchu narodów najgłośniej wtedy, gdy za zamkniętymi drzwiami negocjują twarde cła.

Relacja między kulturą a rynkiem jest w Ameryce Południowej wyjątkowo subtelna i różni się od modelu, który znamy z naszego kontynentu. W Unii Europejskiej to gęsta sieć powiązań rynkowych pomogła stworzyć praktyczną wspólnotę interesów, która przetrwała mimo ogromnej różnorodności językowej i historycznych zaszłości. W MERCOSUR sytuacja jest odwrotna: to istniejąca wspólnota kulturowa ma za zadanie wygenerować cierpliwość dla rynku, który wciąż nie działa wystarczająco sprawnie. Europa zaczęła od węgla, stali i funduszy strukturalnych, by dopiero na tym fundamencie mozolnie budować poczucie europejskości. MERCOSUR ma szansę zacząć od bliskiej wyobraźni, ale musi w zamian stworzyć znacznie twardsze i bardziej stabilne podstawy gospodarcze. To odwrócenie kolejności nie jest ani lepsze, ani gorsze, przy czym warto pamiętać, że handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością.

# Między zależnością a autonomią: wyzwania dla przyszłości MERCOSUR

Doktryna MERCOSUR w XXI wieku nie jest jedynie zbiorem technokratycznych zapisów, lecz splotem trzech fundamentalnych wektorów: suwerenności, skali oraz tożsamości. Suwerenność objawia się tu jako asertywna odmowa prostego podporządkowania globalnym hegemonom, podczas gdy skala stanowi pragmatyczne uznanie faktu, iż państwa regionu, negocjując w pojedynkę, skazują się na nieuchronną marginalizację. Tożsamość z kolei to próba wykreowania „wspólnego Południa" jako świadomej przestrzeni politycznej, a nie tylko przypadkowego sąsiedztwa na mapie geograficznej. Słynne hasło „Naszą Północą jest Południe" stanowi genialną kondensację tej triady, będąc jednocześnie manifestem politycznym i strategicznym gestem odwrócenia kompasu. To zobowiązuje, bo jeśli Południe ma stać się punktem odniesienia dla samego siebie, musi przestać postrzegać się wyłącznie przez pryzmat dostawcy surowców dla odległych centrów cywilizacyjnych.

Tu właśnie pojawia się kluczowe pytanie o naturę relacji z Unią Europejską, które dzieli analityków na ostrożnych optymistów i głębokich sceptyków. Czy wielka umowa handlowa wzmocni autonomię bloku, czy może raczej zabetonuje jego rolę jako zaplecza agroeksportowego dla Starego Kontynentu? Odpowiedź wymyka się prostym dychotomiom, gdyż porozumienie z jednej strony otwiera nowe rynki i dywersyfikuje partnerstwa, z drugiej zaś niesie ryzyko utrwalenia niebezpiecznej asymetrii. Ekonomiczna średnia bywa wszak jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda w statystykach, ale nie zawsze ratuje przed strukturalnym utonięciem. Jeśli głównym owocem współpracy pozostanie eksport biomasy, kalorii i białka w zamian za import wysokiej technologii, MERCOSUR może utknąć w pułapce rozwoju peryferyjnego. Pamiętajmy, że nie każda ekspansja handlowa jest awansem cywilizacyjnym; czasem to po prostu bardziej wydajne trwanie w miejscu, które inni wyznaczyli nam dekady temu.

Aby uniknąć tego scenariusza, blok potrzebuje doktryny rozwoju, która wykracza daleko poza proste ładowanie soi na statki płynące do Rotterdamu. Niezbędne jest budowanie regionalnych łańcuchów wartości, czyli procesów, w których surowiec zostaje przetworzony na miejscu, generując kapitał i wiedzę wewnątrz regionu. Wymaga to skoordynowanej polityki przemysłowej, integracji energetycznej oraz wspólnych inwestycji w technologię rolnictwa precyzyjnego i nowoczesną infrastrukturę transportową. Sama liberalizacja handlu, choć kusząca, nie zastąpi strategii strukturalnej, ponieważ rynek potrafi otworzyć drzwi, ale rzadko kiedy uczy nowicjusza, w którą stronę ma pójść po przekroczeniu progu. Bez własnych standardów i wspólnych badań

naukowych MERCOSUR pozostanie jedynie pasywnym odbiorcą cudzych reguł gry, co w dłuższej perspektywie jest strategią samobójczą.

Unia Europejska również stoi przed koniecznością rewizji swojej postawy, jeśli marzy o autentycznym partnerstwie, a nie tylko o zabezpieczeniu własnych interesów. Musi odejść od roli surowego nauczyciela, który jednostronnie narzuca globalnemu Południu swoją tożsamość regulacyjną, czyli zbiór norm środowiskowych i dobrostanowych będących fundamentem europejskiego rynku. Choć ochrona planety i konsumenta jest bezdyskusyjnie ważna, to w oczach latynoamerykańskich producentów te wymogi często jawią się jako aksamitna forma protekcjonizmu. Prawdziwe partnerstwo wymaga mechanizmów współtworzenia standardów i realnego wsparcia technologicznego w procesie dostosowawczym, a nie tylko regulacyjnej hierarchii. W przeciwnym razie europejska normatywność zostanie zapamiętana nie jako postęp, lecz jako kolejna, subtelna forma dominacji Północy nad Południem.

Proces ten nie jest już tylko akademicką dyskusją, lecz twardą rzeczywistością prawną, która nabiera tempa w kuluarach Brukseli i Brasilii. Komisja Europejska, publikując finalny tekst umowy po rewizji prawnej, wyznaczyła datę 1 maja 2026 roku jako moment rozpoczęcia prowizorycznego stosowania porozumienia. Jednocześnie unijne instytucje, dbając o suwerenność żywnościową, czyli prawo do ochrony własnego rolnictwa przed zewnętrzną konkurencją, wprowadziły rygorystyczne zabezpieczenia. Pozwalają one na czasowe zawieszenie preferencji taryfowych w przypadku, gdy import wołowiny, drobiu czy cukru z MERCOSUR zacznie zagrażać stabilności europejskich gospodarstw rodzinnych. To pokazuje, że handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością, lecz skomplikowaną grą o przetrwanie lokalnych struktur społecznych i bezpieczeństwo narodowe.

Status samego MERCOSUR również ewoluuje, oddalając się od uproszczonego obrazu czterech państw założycielskich z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Oficjalne dokumenty wskazują na Boliwię jako nowe państwo członkowskie, co wnosi do bloku bezcenny komponent andyjski oraz rdzenny, poszerzając jego horyzont polityczny i surowcowy. Z drugiej strony Wenezuela pozostaje zawieszona w swoich prawach, stanowiąc bolesną przestrogę, że płomienna retoryka kontrhegemoniczna bez stabilności instytucjonalnej prowadzi prosto do izolacji. MERCOSUR jest więc organizmem dynamicznym i niejednorodnym, w którym Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj wciąż stanowią twardy rdzeń negocjacyjny. Ta różnorodność sprawia, że blok wymyka się prostym definicjom i wymaga od nas patrzenia przez pryzmat wielu teorii jednocześnie, by zrozumieć jego wewnętrzną logikę.

Współczesna nauka o regionalizmie uczy nas, że jedna teoria jest tu jak pojedyncza latarka w gęstej dżungli: oświetla skrawek ścieżki, ale resztę czyni jeszcze mroczniejszą. Neofunkcjonalizm pomaga

zrozumieć, jak współpraca gospodarcza wymusza integrację w kolejnych sektorach, choć w Ameryce Południowej proces ten hamuje niski poziom handlu wewnątrzregionalnego. Międzyrządowość tłumaczy, dlaczego stolice tak zazdrośnie strzegą swojej suwerenności, a konstruktywizm społeczny rzuca światło na potęgę wspólnego języka i tożsamości Południa. Do tego dochodzi ekonomia polityczna rozwoju, pytająca o miejsce w globalnych łańcuchach wartości, oraz ekologia polityczna, analizująca środowiskowy koszt eksportu. Dopiero splot tych wszystkich perspektyw pozwala dostrzec pełen obraz wyzwań, przed którymi stoi ten południowoamerykański kolos w starciu z globalizacją.

Najważniejszym wnioskiem płynącym z tej analizy jest fakt, że MERCOSUR nie powinien, a wręcz nie może, niewolniczo kopiować modelu Unii Europejskiej. Integracja jest bowiem funkcją specyficznych warunków regionalnych, a europejski wzorzec był odpowiedzią na traumę wojen, zimnowojenną geografię i unikalną strukturę gospodarczą Starego Kontynentu. MERCOSUR mierzy się z zupełnie innymi demonami: dominacją USA, słabą infrastrukturą, asymetrią potencjału Brazylii oraz chroniczną zależnością surowcową. Kopiowanie rozwiązań z Brukseli byłoby nie tylko politycznie nierealne, ale wręcz intelektualnie leniwe, stanowiąc rodzaj kolonializmu instytucjonalnego w eleganckiej, akademickiej oprawie. Zamiast kopiować, blok musi adaptować, czyli przetwarzać zewnętrzne wzorce tak, by pasowały do lokalnej gleby i służyły budowie realnej autonomii.

Adaptacja ta wymaga jednak zasypania luki wdrożeniowej, czyli rozdźwięku między ambitnymi deklaracjami a faktyczną implementacją prawa w systemach krajowych państw członkowskich. MERCOSUR potrzebuje sprawniejszych mechanizmów rozstrzygania sporów, realnych funduszy wyrównawczych oraz silniejszej koordynacji w obszarze cyfrowym i naukowym. Dojrzała polityka zaczyna się tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez ucieczki w tani slogan czy ideologiczne uproszczenie. Dzisiejszym zadaniem bloku jest przejście od kontrhegemonii defensywnej ku autonomii produktywnej, czyli zdolności do budowania własnych technologii i standardów. Tylko w ten sposób państwa Południa przestaną być jedynie peryferyjnym zapleczem dla cudzych centrów, a staną się podmiotem piszącym własną, niezależną historię rozwoju.

# Laboratorium wielobiegunowości: nowa era relacji UE-MERCOSUR

Autonomia produktywna, czyli zdolność regionu do budowania własnych technologii i łańcuchów wartości zamiast trwania w roli zaplecza surowcowego, to coś znacznie więcej niż tylko celna barykada. Wymaga ona bowiem świadomego konstruowania własnej infrastruktury, standardów

oraz instytucji kultury i edukacji, które stanowią fundament nowoczesnego państwa. Podczas gdy strategia defensywna chroni jedynie przed utratą pola w globalnej grze, to właśnie produktywność decyduje o tym, co na tym odzyskanym polu ostatecznie wyrośnie. Bez własnej zdolności do transformacji energetycznej i rolniczej regiony Południa pozostaną jedynie pasywnymi odbiorcami cudzych innowacji. Dojrzała polityka zaczyna się tam, gdzie umiemy utrzymać w głowie więcej niż jedną prawdę bez ucieczki w tani slogan.

Południe, pragnące stać się suwerennym kowalem własnego losu, nie może być postrzegane wyłącznie jako tarcza odpierająca zewnętrzne wpływy. Musi stać się warsztatem, w którym wykuwa się nowa jakość, a umowa z Unią Europejską ma szansę stać się w tym procesie potężną dźwignią modernizacyjną. Warunkiem jest jednak potraktowanie tego porozumienia jako impulsu do transferu technologii i rozwoju logistyki, a nie tylko jako kolejnego kanału dla eksportu nieprzetworzonych dóbr. Istnieje bowiem realne ryzyko, że umowa pogłębi dotychczasowe asymetrie, jeśli Europa ograniczy się do wysyłania produktów wysoko przetworzonych w zamian za argentyńską wołowinę czy brazylijską soję. Handel żywnością nigdy nie jest tylko handlem żywnością, lecz skomplikowanym splotem bezpieczeństwa, tradycji i biologicznego przetrwania.

W tym właśnie miejscu rozstrzygnie się prawdziwy sens i trwałość transatlantyckiego porozumienia, którego fundamentem nie jest sam podpis, lecz struktura przyszłych przepływów kapitałowych. Europa stoi przed wyzwaniem przejścia od normatywności deklaratywnej, która jedynie narzuca światu własne standardy, ku normatywności odpowiedzialnej. Ta druga postawa zakłada realną pomoc partnerom w spełnianiu owych wymogów, zamiast używania ich jako eleganckiej zasłony dla neoprotekcjonizmu. Tożsamość regulacyjna, czyli zbiór unijnych standardów produkcji i ochrony środowiska, nie może stać się narzędziem outsourcingu kosztów ekologicznych na inne kontynenty. Normy pozbawione spójności i empatii wobec partnerów szybko zamieniają się w moralną inflację, która dewaluuje europejskie wartości.

Ewolucja celów MERCOSUR, od prostego wspólnego rynku ku ambitnej autonomii, odzwierciedla głębszą zmianę doktrynalną, jaka dokonała się w Ameryce Łacińskiej. Strategia ta, oparta na geoekonomii i dywersyfikacji partnerów, miała na celu zablokowanie satelizacji regionu przez wielkie mocarstwa i budowę autentycznej wielobiegunowości. Instytucje bloku pozostały jednak międzyrządowe, ponieważ dominująca pozycja Brazylii sprawia, że każda próba ponadnarodowości budzi w mniejszych państwach zrozumiały lęk polityczny. Luka wdrożeniowa, czyli ten bolesny rozdźwięk między ambitnym prawem regionalnym a jego faktyczną implementacją, pozostaje główną słabością, którą maskuje jedynie wspólnota języka i pamięci. Kultura stała się tu spoiwem kompensującym niedostatki ekonomicznej gęstości i infrastrukturalne zapóźnienie.

Najbardziej przekonująca konkluzja dotycząca tego południowoamerykańskiego projektu nie powinna być utrzymana w tonie triumfalnym, lecz raczej w duchu pokornego realizmu. MERCOSUR nie jest modelem do bezkrytycznej celebracji, lecz projektem niedokończonym, kruchym i pełnym wewnętrznych sprzeczności, od kryzysów Argentyny po pokusę surowcowego komfortu. Jest on jednak projektem absolutnie koniecznym, gdyż alternatywą dla niedoskonałej integracji jest jeszcze bardziej dotkliwa, peryferyjna samotność. W świecie zdominowanym przez wielkie bloki i bezwzględne mocarstwa samotność państwa nie jest romantyczną niezależnością, lecz otwartym zaproszeniem do bycia rozgrywanym przez silniejszych. Ekonomiczna średnia bywa jak elegancki parasol w czasie powodzi: dobrze wygląda na papierze, ale rzadko ratuje przed utonięciem.

Dlatego warto bronić MERCOSUR jako historycznie uzasadnionej strategii autonomii, a nie tylko jako biurokratycznej struktury z siedzibą w Montevideo. Umowa z Unią Europejską zasługuje na poparcie nie jako akt ślepej liberalizacji, lecz jako potencjalne narzędzie wielobiegunowości, o ile zostanie wyposażona w realne zabezpieczenia społeczne. Warto przy tym krytykować europejski protekcjonizm, nie lekceważąc jednocześnie lęków tamtejszych rolników, których protesty są często wołaniem o elementarną sprawiedliwość. Wolny handel bez prawa jest darwinizmem z ładną typografią, dlatego prawo Południa do rozwoju musi iść w parze z odpowiedzialnością za wspólne dziedzictwo przyrodnicze. "Wolny" w kontekście wymiany handlowej nie może oznaczać "bezwarunkowy", jeśli chcemy uniknąć powrotu do kolonialnych schematów.

Każda epoka pielęgnuje swój ulubiony przesąd, a lata dwudzieste naszego wieku boleśnie weryfikują optymizm poprzednich dekad. Lata dziewięćdziesiąte wierzyły naiwnie, że rynek samoczynnie rozwiąże problemy polityczne, podczas gdy kolejna dekada ufała, że globalizacja oswoi wszelkie partykularyzmy. Dziś już wiemy, że handel pozbawiony strategii rodzi upokarzającą zależność, a normy narzucane bez poczucia sprawiedliwości wywołują jedynie słuszny bunt. MERCOSUR jest dzieckiem tej trudnej lekcji, choć sam uczy się jej w sposób nierówny i często chaotyczny. Jeśli oba bloki zrozumieją, że ich umowa jest traktatem o wspólnym ryzyku, mogą stworzyć laboratorium odpowiedzialnej wielobiegunowości, wykraczające poza proste obniżanie ceł.

Puenta tego geopolitycznego wyzwania jest uderzająco prosta, choć jej praktyczna realizacja wymaga niemal herkulesowego wysiłku od obu stron negocjacyjnego stołu. MERCOSUR nie powinien tracić energii na pytanie, jak stać się kopią Europy, a Europa musi porzucić ambicję "ucywilizowania" swojego partnera. Oba bloki powinny raczej wspólnie szukać odpowiedzi na pytanie, jak handlować bez dominacji i jak integrować się bez wzajemnego upokorzenia. Prawdziwy rozwój nie może polegać na przerzucaniu kosztów na słabszych, na lasy deszczowe czy na przyszłe

pokolenia, które nie mają jeszcze głosu w tej debacie. Jeżeli "Naszą Północą jest Południe", to nie dlatego, że kompas się zepsuł, lecz dlatego, że po epoce cudzych map regiony muszą wreszcie nauczyć się rysować własne. Mikhail Mukhametdinov, "MERCOSUR and the European Union"

> Umowa UE-MERCOSUR nie jest końcem historii, lecz otwarciem trudnego rozdziału, w którym geografia interesów ściera się z moralną odpowiedzialnością. Czy potrafimy stworzyć system wymiany, który nie będzie jedynie eleganckim parasolem chroniącym nas przed żywiołem nierówności? Pytanie o to, jak handlować bez dominacji, pozostaje najważniejszym sprawdzianem dojrzałości obu naszych światów.

## Inspiracje

**[1]** 


**"MERCOSUR and the European Union"** Mikhail Mukhametdinov

*2019 | Palgrave Macmillan | ISBN: 9783319768243*

Michaił Muchamietdinow jest akademikiem i badaczem, który pełnił funkcję adiunkta w Samarskiej Akademii Nauk Humanistycznych w Rosji, gdzie zajmował również stanowisko kierownika Katedry Lingwistyki Stosowanej i Języków Obcych. Jego praca naukowa koncentruje się na integracji regionalnej, polityce porównawczej i stosunkach międzynarodowych. Był profesorem wizytującym na Wydziale Kultur Iberyjskich i Latynoamerykańskich Uniwersytetu Stanforda oraz w Centrum Davisa ds. Studiów Rosyjskich i Eurazjatyckich Uniwersytetu Harvarda. Muchamietdinow jest ceniony za badania porównawcze bloków regionalnych, w szczególności za analizę Unii Europejskiej, MERCOSUR-u i Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Jego wkład badawczy obejmuje opracowywanie ram analitycznych do oceny integracji regionalnej z perspektywy wielu perspektyw teoretycznych, uwzględniających takie czynniki, jak geografia ekonomiczna, asymetrie władzy i wymiary kulturowe.

***Mikhail Mukhametdinov*** *is an academic and researcher who has served as an adjunct professor at the Samara College for the Humanities in Russia, where he also held the position of head of applied linguistics and foreign languages. His scholarly work focuses on regional integration, comparative politics, and international relations. He has been a visiting scholar at Stanford University's Department of Iberian and Latin American Cultures and at Harvard University's Davis Center for Russian and Eurasian Studies. Mukhametdinov is recognized for his comparative studies of regional blocs, specifically analyzing the European Union, MERCOSUR, and the Eurasian Economic Union. His research contributions include developing analytical frameworks to evaluate regional integration through multiple theoretical lenses, incorporating factors such as economic geography, power asymmetries, and cultural dimensions.*

*Samara College for the Humanities*

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 1f4fa390-5f10-4449-b176-e13f18dc6941